MARIO

PUZO

DZIESIĄTA ALEJA

Rozdział 1

Larry Angeluzzi jechał dumnie na smoliście czarnym koniu głębokim kanionem, który tworzyły frontony czynszowych kamienic. Gromady dzieci, dokazujące na trotuarach u podnóży przeciwległych ścian tego kanionu, przerywały zabawy i gapiły się na niego z niemym podziwem. Larry zatoczył szeroki łuk czerwoną latarnią; spod podkowy trysnęły skry skrzesane o szynę wpuszczoną w bruk Dziesiątej Alei, i za koniem, jeźdźcem oraz latarnią nadjechał powoli długi pociąg towarowy zmierzający z dworca przy Hudson Street na północ.

W 1928 roku ulicami Nowego Jorku, na kierunku północ-południe, odbywał się wahadłowy ruch pociągów, które poprzedzali konni przodownicy Centralnego Zarządu Kolei Żelaznej, ostrzegający przed zbliżającym się składem. Za kilka lat, wraz z powstaniem napowietrznej estakady, miało się to skończyć. Larry Angeluzzi, który nie wiedział jeszcze, że jest jednym z ostatnich miejskich „pociągowych", że jego profesja przejdzie wkrótce do historii i tylko dociekliwi znajdą o niej krótką wzmiankę w kronikach miasta, jechał napuszony i arogancki niczym kowboj z westernu. Na nogach, zamiast skórzanych kowbojskich butów z cholewami, miał białe trzewiki na gumowych podeszwach, na głowie, w miejsce sombrera, spiczastą czapkę ozdobioną firmowymi guzikami. Nogawki niebieskich drelichowych spodni spiął w kostkach

lśniącymi klamerkami używanymi do jazdy na rowerze.

Jechał stępa przez miejską kamienną pustynię, nad którą zapadł już parny letni wieczór. Pod ścianami kamienic siedziały na drewnianych skrzynkach rozplotkowane kobiety, mężczyźni, wystający na rogach ulic, kopcili cygara De Nobili, dzieci opuszczały w miarę bezpieczne cementowe wysepki trotuarów i z narażeniem życia czepiały się przejeżdżającego pociągu towarowego. Wszystko to odbywało się w przydymionej żółtej poświacie ulicznych latarni oraz blasku bijącym od gołych, rozpalonych do białości żarówek w witrynach sklepików z łakociami. Na każdym skrzyżowaniu powiew świeżej bryzy od równoległej Dwunastej Alei, biegnącej wybetonowanym nabrzeżem rzeki Hudson, orzeźwiał konia i jeźdźca, chłodził pełznącą za nimi i pogwizdującą ostrzegawczo czarną zgrzaną lokomotywę.

Na wysokości Dwudziestej Siódmej Ulicy ściana kamienic po prawej urywała się jak nożem uciął. W tym długim na całą przecznicę wyłomie rozpościerał się park Chelsea gęsto upstrzony ciemnymi sylwetkami podrostków, którzy siedząc na gołej ziemi, podglądali za darmo filmy wyświetlane w letnim kinie przez Hudsońskie Stowarzyszenie Właścicieli Domów Czynszowych. Na odległym gigantycznym białym ekranie Larry Angeluzzi zobaczył monstrualnych rozmiarów jeźdźca na koniu, który cwałował wprost na niego w promieniach sztucznego słońca. Jego własny koń, przerażony widokiem tych olbrzymich widm, zarzucił niespokojnie łbem i już mijali skrzyżowanie z Dwudziestą Ósmą Ulicą, za którym znowu jak spod ziemi wyrastała ściana kamienic.

Larry zbliżał się do domu. Przy Trzydziestej Ulicy, nad Dziesiątą Aleją, była przerzucona kładka dla pieszych; za tą kładką zaczynały się jego śmieci i kończyła robota. Zsunął czapkę na bakier i wyprostował się w siodle. Cała wiara zaludniająca trotuary od Trzydziestej do Trzydziestej Pierwszej Ulicy to jego krewni bądź znajomi. Dźgnął piętami wierzchowca.

Przegalopował pod kładką, machając do dzieciarni tłoczącej się przy barierkach po obu stronach. Spiął z fasonem konia, żeby pokazać ludziom z trotuaru po prawej, jaki z niego jeździec, zwrócił tańczące na zadnich nogach zwierzę w lewo i już był na terenie otwartej bocznicy kolejowej — rozległej, tryskającej tu i tam fontannami iskier, stalowej równiny, która ciągnęła się aż po rzekę Hudson.

Tocząca się za nim ogromna lokomotywa sapnęła kłębem białej pary, w którym jak za sprawą magii zniknęła kładka wraz ze znajdującymi się na niej dziećmi. O tym, że nie rozpłynęły się w niebycie, świadczyły tylko piski zachwytu wznoszące się stamtąd ku bladym, ledwie widocznym gwiazdom. Pociąg towarowy, wyginając się w łuk, skręcił na bocznicę, para się rozwiała, kładka na powrót zmaterializowała, a tabun wilgotnych dzieci zbiegł z niej hurmem po schodach, by rozproszyć się po Alei.

Larry przywiązał konia do słupka przy budce zwrotniczego i usiadł na ławeczce pod ścianą. Po drugiej stronie Alei cal po calu ożywał świat, który znał i kochał.

Oto jasno oświetlona piekarnia na rogu Trzydziestej Ulicy, a przed nią ozdobiony girlandami, oblężony przez dzieci stragan z cytrynowym sorbetem. *Panettiere* osobiście napełnia papierowe kubki z białym wrębkiem wiśniowoczerwonym albo bladożółtym śniegiem skrzącym się białymi kryształkami lodu. Nakłada porcje hojną ręką, bo jest do tego stopnia bogaty, że stać go nawet na przepuszczanie pieniędzy na torze wyścigów konnych.

Za piekarnią, patrząc w stronę Trzydziestej Pierwszej Ulicy, sklep spożywczy — na wystawie żółte bele sera provolone w błyszczących woskowych skórkach i piramidy szynek prosciutto. Dalej zakład fryzjerski — fryzjer o tej porze nie przyjmuje już klientów, ale udostępnia nadal lokal amatorom gry w karty i zżyma się na widok każdej świeżo ostrzyżonej głowy, która nie nosi śladów jego nożyczek. Trotuary zarojone gromadami ruchliwych jak mrówki dzieci; przed wejściem do

każdej z kamienic, ledwie widoczne w mroku, siedzą kobiety w czerni, przywodzą na myśl małe bezkształtne wzgórki. Z każdego takiego wzgórka ulatuje w letnie rozgwieżdżone niebo monotonne gniewne trajkotanie.

Torami przykuśtykał karłowaty zwrotniczy.

— Dzisiaj nie będzie już pociągu, chłopcze — oznajmił.

Larry bez słowa odwiązał wierzchowca, dosiadł go i zawrócił z fantazją.

Kiedy koń stawał dęba, Larry'emu wydało się, że rząd kamienic — zachodnia ściana wielkiego miasta — wybrzusza się niczym wydymany wiatrem żagiel i wybiega mu na spotkanie. W otwartym oknie swojego mieszkania na ostatnim piętrze czynszówki, którą miał dokładnie naprzeciw siebie, wypatrzył ciemną sylwetkę. To mógł być tylko jego młodszy brat Vincent. Larry pomachał mu, ale odpowiedzi doczekał się dopiero, kiedy pomachał po raz wtóry. Światło paliło się tylko w kilku oknach. Prawie wszyscy lokatorzy, jak w każdy letni wieczór, wylegli przed kamienicę i teraz mu się przyglądali. Klepnął konia dłonią w szyję i pogalopował brukowaną Dziesiątą Aleją do stajni przy Trzydziestej Piątej Ulicy.

Kilka godzin wcześniej, o zmierzchu, kiedy Larry Angeluzzi siodłał dopiero swojego konia w St. John's Park, jego matka, jak również matka Octavii i Vincenza Angeluzzich, Lucia Santa Angeluzzi-Corbo, wdowa po Anthonym Angeluzzim, obecnie żona Franka Corbo i matka jego trojga dzieci — Gina, Salvatore i Aileen — przygotowywała się do rejterady z dusznego pustego mieszkania. Letnie wieczory wolała spędzać na powietrzu, plotkując z gadatliwymi sąsiadkami, a przy okazji dając baczenie na dzieci bawiące się na ciemnych ulicach miasta.

Lucia Santa była tego dnia w dobrym nastroju, bo nie ma to jak lato — dzieci nie przeziębiają się, nie gorączkują, odpada problem ciepłych kurtek, rękawiczek i butów na zimowe śniegi, nie trzeba sobie łamać głowy, skąd wyskrobać dodatkowe pieniądze na przybory szkolne. Dzieci pałaszowały

w pośpiechu kolację, by czym prędzej czmychnąć z dusznego mieszkania na tętniące życiem ulice; szkoda im było czasu na wieczorne kłótnie. W domu łatwiej było utrzymać porządek, bo zawsze świecił pustkami. Lucia Santa najbardziej rada była z tego, że latem wieczory miała tylko dla siebie; ulica stanowiła miejsce spotkań, a lato porę, kiedy sąsiedzi się zaprzyjaźniają. Tak więc włożyła czystą czarną sukienkę, zebrała w kok gęste kruczoczarne włosy, wzięła kuchenny stołek i zeszła z czwartego piętra, by posiedzieć na Alei.

Trotuar przed każdą kamienicą spełniał rolę wiejskiego ryneczku; co wieczór na drewnianych skrzynkach i stołkach przesiadywała tam grupka kobiet w czerni, które raczyły się nie tylko plotkami. Wspominały również dawne czasy, komentowały obyczaje i stosunki społeczne, za punkt odniesienia przyjmując zawsze wzorce wyniesione z jakiejś górskiej wioski na południu Włoch, z której uciekły przed wielu laty. I jak ma się rzeczywistość do tego, co sobie wyobrażały? Co by powiedzieli ich surowi ojcowie, gdyby przeniesieni tu jakimś cudem zobaczyli, z jakimi trudnościami muszą się borykać na co dzień? Albo ich matki o zręcznych, spracowanych dłoniach? Ile by było krzyku i pomstowania, gdyby jako córki, tam, w starym kraju, wyprawiały to, co tutaj te amerykańskie dziewuszyska? Ma się rozumieć, jeśli przyszłoby im w ogóle do głowy, że można się tak zachowywać.

Kobiety mówiły o swoich dzieciach jak o obcych. To był ich ulubiony temat: zepsucie szerzące się wśród niewiniątek w nowym kraju. Weźmy taką Felicię, która mieszka za rogiem, przy Trzydziestej Pierwszej Ulicy. Co z niej za córka, skoro nie przerwała miesiąca miodowego, kiedy matka powiadomiła ją o niedomaganiu babki? Istna lafirynda. Nie, nie, wcale nie przesadzają z tym określeniem. Sama matka Felicii tak ją nazwała. Albo weźmy tego synalka, pożal się Boże, któremu tak pilno było do ślubu, że nie mógł odczekać roku, jak chciał

ojciec? Ach, cóż za brak szacunku. *Figlio disgraziato*. We Włoszech nie uszłoby mu to płazem. Ojciec zatłukłby takiego bezczelnego syna; tak, zatłukł. A ta córka? We Włoszech — zarzekała się matka Felicii drżącym wciąż ze wzburzenia głosem, chociaż od tamtego incydentu upłynęły już trzy lata, babka wydobrzała i dalej nazywała wnuki światłem swojego życia — ooo, we Włoszech ona wywlokłaby tę lafiryndę z małżeńskiego łoża i zaciągnęła za kudły do leżącej w szpitalu babki. Ach, Włochy, Włochy; jak ten świat się zmienił, i to na gorsze. Co je opętało, że wyjechały z takiego kraju? Kraju, gdzie ojcowie mają posłuch, a matki są traktowane przez dzieci z szacunkiem.

Każda po kolei opowiadała własną historię o krnąbrności i zuchwalstwie, o swoim heroizmie, anielskiej cierpliwości, o dzieciach, istnych diablętach, zawracanych ze złej drogi tradycyjnymi włoskimi metodami wychowawczymi: paskiem do ostrzenia brzytwy albo *tackerilem*. Każda kobieta kończyła opowieść tym samym stwierdzeniem. *Mannaggia America!* — Przeklęta Ameryka. Tego letniego wieczoru z ich głosów przebijała jednak nadzieja, chęć do życia, której próżno by się doszukiwać w ojczyźnie. Tutaj, teraz, w banku leżą pieniądze, dzieci potrafią pisać i czytać, wnuki, jeśli wszystko dobrze się ułoży, zostaną kiedyś profesorami. Bez wielkiego przekonania mówiły o dochowywaniu wierności tradycji, wszak same wdeptywały ją w ziemię.

Bo prawda była taka: te wieśniaczki z biednych gospodarstw we włoskich górach, urodzone w tych samych izbach, w których umierali ich ojcowie i dziadkowie, kochały rozbrzmiewającą szczękiem stali i stukotem kamieni atmosferę wielkiego miasta, w którym teraz mieszkały, łomot wagonów przetaczanych na bocznicy kolejowej po drugiej stronie ulicy, łunę świateł nad Palisades na drugim brzegu Hudsonu. Dzieciństwo upłynęło im w izolacji, na ziemi tak jałowej, że rodziny, by przeżyć, rozpraszały się po górskich stokach.

Wyzwoliła je odwaga. Były pionierkami, choć ich noga

nigdy nie postała na amerykańskiej prerii. Przybywały do jeszcze bardziej przytłaczającej głuszy, gdzie tubylcy mówili niezrozumiałym językiem. Tu, w tym obcym kraju, ich dzieci stawały się członkami innej rasy. Tę cenę musiały płacić.

Lucia Santa nie zabierała dzisiaj głosu, słuchała tylko. Czekała na swoją przyjaciółkę i sojuszniczkę, *Zię* Louche. Odpoczywała, zbierając siły na wesołe przekomarzania, które potrwają wiele godzin. Wieczór był wczesny, a do mieszkań nie rozejdą się przed północą. Za gorąco. Splotła dłonie na podołku i wystawiła twarz na powiewy lekkiego wietrzyku od Dwunastej Alei.

Niewysoka, zgrabna, ładna, zdrowa na ciele i umyśle Lucia Santa była kobietą odważną. Nie lękała się życia ani zagrożeń, które ze sobą niesie, ale unikała zbędnego ryzyka, kierowała się rozsądkiem. Była silna, doświadczona, nieufna i czujna, dobrze predysponowana do prowadzenia licznej rodziny ku dorosłości i wolności. Jej jedyną słabą stroną był brak wrodzonego sprytu i przebiegłości, które to cechy bardziej przydają się ludziom niż cnota.

Rodzinny dom we Włoszech opuściła ponad dwadzieścia lat temu jako zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna. Przebyła trzy tysiące mil ciemnego oceanu, by znaleźć się na obcej ziemi, wśród obcych, i rozpocząć nowe życie z mężczyzną, którego, co prawda, pamiętała z dzieciństwa, ale jak przez mgłę.

Opowiadała często tę historię, kręcąc głową nad swoją lekkomyślnością, a mimo to z dumą.

Pewnego razu ojciec ze zbolałą miną oznajmił jej, swojej ulubionej córce, że nie ma co liczyć na ślubną wyprawę. Gospodarstwo podupada. Mają długi. Wszystko wskazuje na to, że idzie ku gorszemu. Nic dodać, nic ująć. Pozostaje tylko nadzieja, że trafi się kandydat na męża, który z miłości do niej straci głowę.

To był cios. W jednej chwili straciła cały szacunek dla ojca, dla domu rodzinnego, dla ojczystego kraju. Pannę młodą bez wyprawy wytykano palcami na równi z tą, która po nocy

poślubnej wstaje z małżeńskiego łoża, nie pozostawiając na pościeli krwawej plamy. Jeszcze gorzej; ta ostatnia mogła się przynajmniej uciec do fortelu i tak wybrać datę zamążpójścia, żeby noc poślubna przypadła w trakcie okresu. Na to mężczyźni skłonni byli nawet przymknąć oko. Ale jaki mężczyzna weźmie sobie za żonę kobietę naznaczoną piętnem dziedzicznej biedy?

Tylko biedak wie, jaki to wstyd być biednym, wstyd po stokroć gorszy niż być największym grzesznikiem. Bo grzesznik, okazując skruchę, w jakimś stopniu zmywa z siebie hańbę. Biedni są w sytuacji bez wyjścia; otoczenie, *padrones*, los i czas nie mają dla nich zmiłowania. Pozostają żebrakami zdanymi na czyjąś łaskę i niełaskę. Dla biednych, którzy od pokoleń żyją w nędzy, stwierdzenie, że praca uszlachetnia to pusty frazes. Im bardziej są pracowici i uczciwi, tym dotkliwiej odczuwają upokorzenie i wstyd.

Lucia Santa, choć miotana młodzieńczym buntem, była bezsilna. Aż tu nagle list z Ameryki; chłopak z sąsiedniego gospodarstwa, towarzysz zabaw z dzieciństwa, pisze, żeby przyjechała do niego do nowej ziemi. Obaj ojcowie wyrazili zgodę. Lucia Santa próbowała sobie przypomnieć jego twarz.

I tak pewnego słonecznego włoskiego dnia Lucia Santa oraz jeszcze dwie panny na wydaniu z okolicy udały się w asyście szlochających rodziców, ciotek i sióstr do magistratu, a następnie do kościoła. Potem wszystkie trzy, trzy poślubione na odległość panny młode, w oczach prawa już Amerykanki, wsiadły na pokład statku płynącego z Neapolu do Nowego Jorku.

Lucia Santa jak we śnie schodziła ze statku na ziemię ze stali i betonu. Jeszcze tego samego wieczoru poszła do łóżka z obcym, który był jej legalnym mężem. Urodziła temu obcemu dwoje dzieci i chodziła w ciąży z trzecim, kiedy mąż zginął w jednym z nieszczęśliwych wypadków, w które

obfitowała budowa nowego kontynentu. Przyjęła to z pokorą. Owszem, lamentowała, ale nie w pełnym tego słowa znaczeniu; ona błagała tylko los o przychylność.

Potem, już jako ciężarna wdowa, wciąż jeszcze młoda, nie mająca nikogo, w kim mogłaby znaleźć oparcie, ani na chwilę nie dopuszczała do siebie czarnych myśli, nie poddawała się. Miała w sobie tę nie tak rzadko spotykaną u kobiet siłę ducha, która pozwalała jej stawiać dzielnie czoło przeciwnościom losu. Ale nie była przecież z kamienia. Los nie zdołał zrobić z niej zgorzkniałej matrony, udało się to jednak przyjaciółkom i sąsiadkom, tym samym, z którymi siedziała teraz w letni wieczór przed kamienicą.

Ach, te młode żony, te młode matki, te wszystkie inne młode Włoszki w obcym kraju. Jakież były serdeczne, jakie uczynne. Jak to się odwiedzały, jak biegały w górę i na dół po schodach, od mieszkania do mieszkania. „*Cara* Lucia Santa, skosztuj tego, skosztuj tamtego...” — a to talerzyk nowego farszu, a to wielkanocna babka z kiełkami pszenicy i tartym serem, glazurowana jajkiem, to znowu ravioli na dzień świętego patrona rodziny, ze specjalnie przyrządzonym mięsem i sosem pomidorowym. To krygowanie się, te komplementy i filiżanki kawy, i zwierzenia, i wpraszanie się na matkę chrzestną nienarodzonego jeszcze dziecka. Po tragedii, po wysłuchaniu najszczerszych wyrazów współczucia i kondolencji, Lucii Sancie objawiło się prawdziwe oblicze świata.

Powitania stały się chłodne, skończyły się sąsiedzkie odwiedziny, żadna już się nie napraszała na matkę chrzestną. Bo i która chciałaby zadawać się z młodą, jak najbardziej wartą grzechu wdową? Mężowie są słabi, zaczną się prośby o wsparcie. W czynszówkach wszyscy się znali; młode kobiety bez mężczyzny stanowiły zagrożenie. Poratuj taką paroma dolarami, a przyssie się jak pijawka i już się nie odczepisz. Nie były bezwzględne, powodowała nimi tylko właściwa biednym przezorność, którą tak łatwo wyszydzać, jeśli samemu nie zakosztowało się lęku przed nędzą.

Wytrwała przy niej tylko jedna przyjaciółka — *Zia* Louche, starsza, bezdzietna wdowa. Pomagała jak mogła. Kiedy urodził się osierocony przez ojca Vincenzo, trzymała go do chrztu, a kiedy chrześniak przystępował do pierwszej komunii, kupiła mu piękny złoty zegarek, żeby Lucia Santa mogła chodzić z wysoko uniesioną głową! Taki wspaniały prezent był świadectwem szacunku i wiary. *Zia* Louche jedna jedyna okazała jej serce i kiedy minął okres żałoby, Lucia Santa spojrzała na świat nowym, mądrzejszym okiem.

Czas zaleczył rany i teraz wszystkie na powrót były najlepszymi przyjaciółkami. Może — kto wie? — młoda wdowa była zbyt surowa w swych osądach, bo te same sąsiadki, fakt, że we własnym interesie, ale pomogły jej znaleźć drugiego męża, żeby miała kogoś, kto wykarmi i odzieje jej dzieci. Ślub odbył się w kościele. Te same sąsiadki wyprawiły jej wspaniałą ucztę weselną. Lucia Santa wyciągnęła jednak wnioski z lekcji, którą zgotowało jej życie, i nie miała już złudzeń.

Teraz, w ten parny letni wieczór, z odchowanymi już dziećmi z pierwszego małżeństwa i podrośniętymi, nie licząc małej Leny, z drugiego, z pewną sumką na koncie, po dwudziestu latach poświęceń, wyrzeczeń i odcierpieniu swojego, Lucia Santa Angeluzzi-Corbo stała na owym małym wzgórku stabilizacji, na który wdrapują się biedni, wdrapują z takim mozołem, że na tym poprzestają, uznając, że byt mają w zasadzie zapewniony i że to szczyt ich możliwości. Osiągnęła już w życiu to, co mogła osiągnąć; pora odpocząć.

Ale dość o tym. Oto nadchodzi *Zia* Louche, teraz będą w komplecie. Lucia Santa skupiła uwagę na toczącej się rozmowie, gotując się do włączenia w wir plotek. W tym momencie dostrzegła Octavię, która wyszła zza rogu Trzydziestej Ulicy

i mijała właśnie *panettiere* z jego oszkloną gablotą z pizzami i puszkami cytrynowego sorbetu. Na moment postać córki przesłonił Lucii Sancie widok wypełnionej po brzegi drewnianej baryłki, do której *Panettiere* wrzucał czerwone miedziaki i lśniące srebrne rybki dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek. Na myśl, że sama nigdy nie wejdzie w posiadanie takiego majątku, jaki udało się zbić temu obleśnemu piekarzowi, pociemniało jej w oczach z gniewu. Na straży owej drewnianej baryłki pełnej miedzianych i srebrnych monet stała żona *Panettiere* — stary, wąsaty, niezdolny już do rodzenia dzieci babsztyl o mętnych, przysłoniętych do połowy ciężkimi powiekami oczach smoczycy, w których odbijały się gasnące zorze letniego wieczoru.

Lucia Santa poczuła, jak Octavia przysiada się do niej na stołek; zetknęły się biodrami i udami. Zirytowana tym, jak zawsze, nie przesunęła się jednak, żeby nie urazić córki. Zerknęła na nią tylko spod oka. Jaka ładna, po amerykańsku ubrana... Posłała swojej starej kumie, *Zii* Louche, porozumiewawczy uśmieszek, w którym spod matczynej dumy przezierała drwina. Milcząca skromnie, ale czujna Octavia przechwyciła ten uśmiech, zrozumiała jego wymowę i nie po raz pierwszy uświadomiła sobie, że matka ją zadziwia.

Zupełnie jakby wiedziała, że ona, Octavia, ani myśli podzielić losu tych kobiet! Z naiwną, łatwą do rozszyfrowania dziewczęcą ostentacją nosiła tę sinoniebieską garsonkę, która ukrywa biust i maskuje krągłość bioder. I białe rękawiczki, jak jej nauczycielka ze szkoły średniej. Z całym rozmysłem nie wyskubywała sobie gęstych czarnych brwi. W skazanej z góry na niepowodzenie próbie umniejszenia swojej atrakcyjności zaciskała mocno pełne czerwone usta, popatrywała ponuro, a wszystko po to, żeby ukryć przed światem tę zgubną zmysłowość, która pogrążyła kobiety z jej otoczenia. Zdaniem Octavii dopuszczenie do głosu owej mrocznej żądzy, która w niej drzemie, przekreśli wszelkie nadzieje na inne lepsze życie. Było jej ogromnie żal tych kobiet, które popadły w wyzute z

marzeń niewolnictwo, rodząc dzieci i zadowalając się nieznanymi jej rozkoszami małżeńskiego łoża.

Nie, nie skończy jak one. Siedziała ze spuszczoną głową i słuchała; udawała jak ten Judasz wierną, a knuła zdradę i ucieczkę.

Teraz, otoczona samymi kobietami, zdecydowała się wreszcie zdjąć żakiet; nie zdawała sobie nawet sprawy, jak ponętnie wygląda w samej białej bluzce z wąskim krawatem w czerwone prążki. Żadne maskujące zabiegi nie były w stanie ukryć pełnych krągłych piersi. Zmysłowa twarz, burza granatowoczarnych włosów zwijających się w niesforne pukle i loki, wielkie błyszczące oczy, wszystko to zdawało się pokpiwać z surowości stroju. Bardziej prowokacyjnie niż w swojej wystudiowanej nieprzystępności nie mogłaby już wyglądać.

Lucia Santa odebrała od córki żakiet i przewiesiła go sobie przez rękę. Był to odruch matczynej miłości, wyrażający zaborczość i dominację, ale przede wszystkim gest pojednania, bo pokłóciły się przed paroma godzinami.

Octavia oznajmiła, że chce pójść do szkoły wieczorowej i kształcić się na nauczycielkę. Lucia Santa stanęła okoniem. Co to, to nie; pracując i chodząc do szkoły, zapadnie na zdrowiu. „Po co ci to? No, po co?” — spytała. „Taka z ciebie dobra krawcowa, nieźle zarabiasz”. Sprzeciwiała się, bo była przesądna. Te same co zawsze argumenty. Los jest przewrotny, nie sprzyja tym, którzy chcą coś zmienić w swoim życiu. Doświadcza ich. Octavia jest za młoda, by to rozumieć.

Octavia, niewiele myśląc, wyrzuciła z siebie wyzywająco: „Ja chcę być szczęśliwa”. Na to matka — ta sama matka, która zawsze przymykała oko na dziwactwa córki, na jej zamiłowanie do czytania książek, na jej szyte niby na miarę, a powabne jak binokle stroje — wpadła w szał. „Chcesz być szczęśliwa” — wycedziła, naśladując perfekcyjny angielski próżnej dziewczyny, którym posługiwała się Octavia. A potem, już po włosku i ze śmiertelną powagą, dodała: „Dziękuj lepiej Bogu,

że żyjesz”.

Octavia przyjęła bez słowa pokojowy gest matki i siedziała obok niej w skromnej pozie, ze złożonymi na podołku dłońmi. Wspominała kłótnię i zachodziła w głowę, jak to jest, że matka, przedrzeźniając swoje dzieci, mówi po angielsku nienagannie. Kątem oka dostrzegła Guida, smagłego syna *Panettiere*, który skradał się niepewnie poprzez ciepły letni wieczór, zwabiony jasną plamą jej białej bluzki. W silnej smagłej dłoni trzymał wysoki papierowy kubek owocowego sorbetu, cytrynowego czy może pomarańczowego. Wręczył go jej, kłaniając się niemal w pas, wymamrotał coś niewyraźnie, chyba „Nie poplam sobie bluzeczki”, i wrócił biegiem za stragan, pomagać ojcu. Octavia uśmiechnęła się, liznęła z grzeczności kilka razy i oddała resztę matce, która przyssała się do kubka łapczywie jak dziecko, bo przepadała za sorbetem. Monotonny pomruk głosów gwarzących kobiet nie ustawał.

Zza rogu Trzydziestej Pierwszej Ulicy skręcił w Aleję ojczym, pchając przed sobą dziecięcy wózek. Octavia obserwowała go, jak idzie spacerowym krokiem od Trzydziestej Pierwszej do Trzydziestej Ulicy i tam zawraca. I tak jak wcześniej zaintrygowała ją ironia w uśmiechu matki, tak teraz w zmieszanie wprawiła czułość ojczyma. Znała go nie od dziś jako człowieka okrutnego, nikczemnego i złego i szczerze nienawidziła. Nieraz była świadkiem, jak okładał pięściami matkę, jak tyranizował pasierbów. Pamiętała jak przez mgłę z dzieciństwa, że zaczął się zalecać do matki wkrótce po śmierci ojca, o wiele wcześniej, niż wypadało.

Zapragnęła podejść do wózka i spojrzeć na śpiące maleństwo, swoją małą siostrzyczkę, którą kochała z całego serca, chociaż było to dziecko ojczyma. Musiałaby jednak odezwać się do tego mężczyzny, spojrzeć w te jego zimne niebieskie oczy, na tę prostacką szczurzą gębę, a na to nie miała ochoty. Wiedziała, że ojczym nienawidzi jej tak samo jak ona jego, i że oboje

czują przed sobą respekt. Nigdy nie ważył się jej uderzyć, tak jak czasami bił swojego pasierba Vinniego. Nie miałaby nic przeciwko razom wymierzanym bratu, gdyby były naprawdę ojcowskie. Ale on przynosił prezenty Ginowi, Salowi i Aileen, a Vincentowi, choć był jeszcze dzieckiem, nigdy. Nienawidziła go, bo ani razu nie zabrał Vincenta na spacer albo do fryzjera, tak jak zwykł postępować ze swymi naturalnymi dziećmi. Bała się go, bo był dziwny — zły i tajemniczy nieznajomy z powieści, niebieskooki Włoch o diabolicznej twarzy. Wiedziała, że w istocie jest prostym niepiśmiennym wieśniakiem, ubogim, pogardzanym imigrantem, który nadrabia tylko miną. Któregoś dnia widziała go w metrze udającego, że czyta gazetę. Opowiedziała o tym matce, chichocząc pogardliwie. Matka uśmiechnęła się tylko dziwnie i nic nie powiedziała.

Ale oto jedna z kobiet w czerni zaczyna opowiadać o pewnej nic niewartej młodej Włoszce (urodzonej, a jakże, w Ameryce). Octavia nadstawiła ucha.

— Tak, tak — ciągnęła kobieta. — Byli miesiąc po ślubie, skończył im się właśnie miesiąc miodowy. Och, jak ona go kochała. Siadała mu na kolanach w domu jego matki. Trzymała go za rękę, o tak... — dwie guzłowate dłonie o usianych kurzajkami palcach złączyły się w miłosnym, obscenicznym splocie na podołku opowiadającej — ...kiedy gdzieś szli. Miesiąc po ślubie wybrali się na tańce. Do kościoła, wyobraźcie sobie. Jacy głupi są ci młodzi księża, co to nawet nie umieją po włosku! I męża Bóg pokarał za to, że tam poszedł. Padł trupem. Serce, zawsze był chorowity. Matka wciąż go upominała, żeby na siebie uważał, martwiła się o niego. I co się dzieje? Powiadają, że młoda żonka tańczyła akurat z innym. Myślicie, że podbiegła do leżącego na ziemi ukochanego? A gdzież tam! „Nie, nie, nie mogę” — piszczała tylko. Żeby kobieta bała się śmierci jak dziecko! Jej luby leży w kałuży własnych sików, ale ona już go nie kocha. „Nie, nie chcę na

to patrzeć” — krzyczy.

— Ho, ho! — odezwała się *Zia* Louche, przybierając dwuznaczny ton. — Założę się, że patrzyła na To chętnie, kiedy To było żywe. — Wszystkie gruchnęły śmiechem i ten chóralny rechot poniósł się po Alei, ściągając zazdrosne spojrzenia kobiet z innych grupek. Octavia była zgorszona, zła, że nawet jej matka uśmiecha się od ucha do ucha.

Pora na poważniejsze tematy. Lucia Santa i *Zia* Louche utworzyły wspólny front w sporze z resztą grupy o jakiś historyczny epizod, o szczegóły skandalu, który wybuchł przed dwudziestoma laty za morzem, we Włoszech. Octavia dobrze się bawiła, obserwując, jak matka oddaje inicjatywę *Zii* Louche i jak ta bierze na siebie cały ciężar bitwy, a przy tym obie odnoszą się do siebie jak księżna do księżnej. „*E vero, Comare?*” — zwracała się z szacunkiem matka do *Zii* Louche. „*Si*, signora” — odpowiadała z godnością *Zia* Louche, zupełnie jakby nie łączyła ich wieloletnia zażyłość. Octavia wiedziała, że za wzajemnym stosunkiem tych dwóch kobiet kryje się wdzięczność matki za bezcenne wsparcie w godzinie największej potrzeby.

Spór toczył się o tak nieistotne niuanse, że szybko znudził Octavię. Wstała, podeszła do wózka i nie witając się z ojczymem, spojrzała z góry na siostrzyczkę. Patrzyła na dziecko z tkliwością, której nie odczuwała nigdy w stosunku do Vincenta. Potem ruszyła w stronę Trzydziestej Pierwszej Ulicy, żeby rzucić okiem na Gina. Bawił się z kolegami, mały Sal siedział na krawężniku. Wzięła Sala za rączkę i zaprowadziła do matki. Nie widziała nigdzie Vinniego. Zadarła głowę. Siedział nieruchomo na parapecie ciemnego okna mieszkania, zapatrzony w przestrzeń.

Frank Corbo popatrywał ponuro na pasierbicę pochylającą się nad jego córką. Odmienny z tymi niebieskimi oczami, wykpiwany (który Włoch spacerowałby z wózkiem w letni wieczór?), niepiśmienny, ociężały umysłowo, widział piękno pogrążonego w ciemnościach kamiennego miasta i czuł

nienawiść pasierbicy, ale jej nie odwzajemniał. Pospolita twarz dobrze skrywała niemą, zżerającą go od środka udrękę. Całe jego życie było snem o pięknie, które czuł, a którego nie potrafił uchwycić, o opacznie pojętej miłości, którą mylił z okrucieństwem. Niezmierzone skarby przesuwały mu się przed oczyma jak cienie, nieosiągalne, świat był przed nim zamknięty. Gdyby miał pewność, że przyniesie mu to ulgę, porzuciłby rodzinę i wyjechał z miasta choćby dziś. Nad ranem, kiedy jeszcze ciemno, zatrzymałby pierwszą lepszą farmerską ciężarówkę i zniknął bez słowa, bez awantur, bez rękoczynów. Nająłby się do pracy gdzieś na brązowo-zielonych w lecie polach, czerpał z miłości spokój, odzyskiwał siły.

Cierpiał. Cierpiał jak głuchoniemy, który nie może zaśpiewać, kiedy widzi piękno, który nie może wykrzyczeć bólu. Rozsadzała go miłość, a nie potrafił jej wyrazić. Za wiele osób w sąsiednich pokojach, za wielu przechodniów na ulicy. Dręczyły go koszmarne sny. Wokół czarno, otaczają go żona i dzieci, i każde wyciąga sobie z czoła sztylet. Budził się z krzykiem.

Robiło się późno, coraz później; dzieci powinny leżeć już w łóżkach, ale było wciąż za gorąco. Frank Corbo wodził wzrokiem za swoim synem Ginem. Chłopiec biegał jak opętany tam i z powrotem, pochłonięty jakąś zabawą w poklepywanie się, której zasad on nie był w stanie pojąć, tak jak nie rozumiał amerykańskiej mowy syna, treści książek i gazet, barw nocnego nieba, piękna tego letniego wieczoru ani wszystkich uroków świata, od których czuł się odcięty i co przepełniało go bólem. Świat był dlań jedną wielką tajemnicą. Straszliwe niebezpieczeństwa, przed którymi inni potrafili chronić swe dzieci, zetrą jego i tych, których kocha, na proch. A jego potomstwo będzie uczyło swoje dzieci nienawiści do niego.

Wciąż jednak był ojcem, sumiennie pchał więc przed sobą wózek tam i z powrotem po Dziesiątej Alei, nie przypuszczając nawet, że wyzwolenie jest tuż-tuż. Że gdzieś tam, głęboko w jego krwi, w maciupkich, niezbadanych komórkach mózgu

kluje się nowy świat. W bezczasowości umysłu powoli, dzień po dniu, jedno bolesne doznanie po drugim, z każdym nieuchwyconym pięknem, mury świata, którego tak się bał, kruszyły się, i za rok na ich miejsce wyrośnie nowy fantastyczny świat, w którym on będzie panem i władcą, jego wrogowie zostaną pognębieni i zastraszeni, w którym straci na zawsze swoich ukochanych, ale nie odczuje tej straty ani nie będzie nad nią bolał. Świat z takim ładunkiem chaotycznego bólu, że zaleje go ekstazą, tajemniczością, i ból minie. Będzie wolny.

Ale to stanie się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jakby samo z siebie, bez uprzedzenia. Dzisiaj, tego wieczoru, szansy na ukojenie upatrywał w spędzeniu jednego lata na wsi, przy pracach polowych, tak jak niegdyś, w dzieciństwie, we Włoszech.

Dla dzieci świat ma szczególną barwę, dźwięki też są dla nich magiczne. Gino Corbo, dopingowany piskami dziewczynek, miotał się pośród warczących motorów i kręgów mdłego blasku rzucanego przez uliczne latarnie, wkładając w zabawę tyle zaangażowania, że aż rozbolała go głowa. Przebiegał tam i z powrotem przez Trzydziestą Pierwszą Ulicę, usiłując dopaść inne dzieci albo zagrodzić im drogę ucieczki. Ilekroć miał już kogoś zbić, ten przywierał plecami do muru i wyciągał przed siebie rękę. Raz sam o mało nie został zbity, ale ścigający musieli się zatrzymać, żeby przepuścić przejeżdżającą taksówkę, dzięki czemu zdążył wrócić na swój trotuar. Zobaczył przyglądającego mu się ojca i podbiegł do niego z okrzykiem:

— Daj cencika na cytrynowy sorbet!

Ścisnął w garści monetę i wprowadzając w czyn pewien sprytny manewr taktyczny, pognał Dziesiątą Aleją. Jednego jednak nie przewidział. Kiedy mijał matkę gawędzącą z sąsiadkami, *Zia* Louche capnęła go za ramię i osadziła w miejscu. Jej kościste palce wpiły mu się w ciało niczym zęby